

KSIEGA I

(1712—1719). Imam się przedsięwzięcia, które dotychczas nie miało przykładu i nie będzie miało naśladowcy. Chcę pokazać moim bliźnim człowieka w całej prawdzie jego natury; a tym człowiekiem będę ja.

Ja sam. Czuję moje serce, i znam ludzi. Nie jestem podobny do żadnego z tych których widziałem; śmiem wierzyć, iż nie jestem podobny do żadnego z istniejących. Jeśli nie lepszy, w każdym razie jestem inny. Czy natura uczyniła źle czy dobrze niszcząc formę w której mnie odlała, o tem wolno będzie sądzić dopiero po przeczytaniu tych kartek.

Niechaj trąba ostatecznego sądu zabrzmi, kiedy przyjdzie godzina: przybędę z tą książką w rękę stanąć przed obliczem Najwyższego Sędziego. Powiem głośno: oto co czynilem, co myślałem, czem byłem. Wyznałem dobre i złe równie szczerze. Nie przemilczałem nic złego, nie dodałem nic dobrego; a jeśli zdarzyło mi się uciec do czczej ozdoby, to jedynie wówczas, gdy trzeba było wypełnić lukę ulomnej pamięci. Mogłem wziąć za prawdę to, o czem wiedziałem że mogło być prawdą; nigdy tego, o czem wiedziałem iż było fałszem. Pokazałem się takim, jakim jestem; godnym pogardy i szpetnym, kiedy nim byłem; dobrym, szlachetnym, wzniosłym, kiedy nim byłem: odsłoniłem moje wnętrze takim, jakim tyś je widział sam, Najwyższy Sędzio. Zgromadź dookoła mnie nieprzeliczoną liczbę moich bliźnich; niech słuchają mej spowiedzi, nich litują się mych nieprawości, niech się rumieniają za me niedole. Niech każdy z nich kolejno odsłoni serce u stóp twego tronu z rów-

ną szczerością; a potem, niechaj jeden jedyny powie ci, jeśli będzie miał czoło: *Byłem lepszy od tego człowieka*.

Urodziłem się w Genewie w r. 1712, z Izaaka Rousseau, obywatela, i Zuzanny Bernard, obywatelki. Ojciec mój, którego ojcowizna, wskutek podziału między piętnastoro rodzeństwa, równa była niemal zeru, musiał szukać środków do życia w zawodzie zegarmistrza, w którym istotnie był bardzo biegły. Matka, córka pastora Bernard, była bogatsza od niego: miała urodę i cnotę. Nie bez trudności przyszło ojcu otrzymać jej rękę. Miłość ich zaczęła się niemal z życiem; mając ośm czy dziewięć lat przechadzali się co wieczór wspólnie po wybrzeżu Trelji; jako dziesięciolatki stanowili nierozłączną parę. Sympatja, porozumienie dusz wzmocniły w nich jeszcze uczucie zrodzone z przyzwyczajenia. Los, który sprzeciwiał się poniekąd ich miłości, spotęgował ją tylko. Młody kochanek, nie mogąc otrzymać bogdanki, usychał z rozpacz; poradziła mu udać się w podróż, aby szukać zapomnienia. Zwędrowawszy świat bez skutku, wrócił tem bardziej rozkochany. Zastał swą ulubioną tkliwą i wierną jak wprzód. Po tej próbie, nie pozostało im nic, jak kochać się całe życie; przysięgli to sobie i niebo pobłogosławiło ich ślubom.

Gabriel Bernard, brat mojej matki, zakochał się w jednej z sióstr ojca; zgodziła się zań wyjść jedynie pod warunkiem, że brat jej poślubi jego siostrę. Miłość usunęła wszystkie zapory i oba związki skojarzyły się jednego dnia. W ten sposób wuj mój był mężem mej ciotki, a dzieci ich mem stryjeczno-ciotecznem rodzeństwem. Urodziło się z końcem roku po jednym w każdym domu, po czem trzeba było się rozłączyć.

Wuj Bernard był inżynierem wojskowym; pociągnął do cesarstwa i do Węgier, służyć pod księciem Eugenjuszem. Ojciec, po urodzeniu mego jedyne go brata, udał się do Konstantynopola, dokąd go powołano: został zegarmistrzem seraju. Podczas jego nieobecności, piękność matki, jej dowcip i talenty zniechęciły wielbicieli. Pan de la Closure, poseł francuski, był jednym z najgorliwszych.

Można wnosić, iż uczucie jego było gorące, skoro, po upływie trzydziestu lat, mówiąc o niej, nie mógł ukryć wzruszenia. Matka miała ku obronie więcej niż samą cnotę: kochała czule męża. Napisała do niego, aby wrócił: rzucił wszystko i pośpieszył na wezwanie. Ja byłem smutnym owocem tego powrotu. W dziesięć miesięcy potem, przyszedłem na świat, wątły i chory. Urodzenie moje kosztowało matkę życie i stało się pierwszym z mych nieszczęść.

Nie wiem, jak ojciec przeniósł tę stratę, ale to wiem, że nie pocieszył się po niej nigdy. Patrząc na mnie, odnajdywał we mnie matkę, nie mogąc, z drugiej strony, zapomnieć, że to ja mu ją zabrałem; ilekroć mnie brał w ramiona, czułem, po jego westchnieniach, po konwulsyjnym uścisku, że gorzki żal wplata się w jego pieczy: tem czulsze były wszelako! Kiedy mówił: Chodź, dziecko, pomówimy o matce, — odpowiadałem: Ach, ojczy, znowu będziemy płakać! I te słowa już wystarczały, aby go pobudzić do łez. — Ach! powiadał wzdychając, oddaj mi ją, pociesz mnie po niej, zapelnij pustkę, jaką zostawiła w mej duszy. Czyżbym cię kochał tyle, gdybyś był tylko moim synem? W czterdzieści lat po jej stracie, umarł w ramionach drugiej żony, ale z imieniem pierwszej na ustach i z jej obrazem w sercu.

Tacy byli twórcy moich dni. Ze wszystkich darów, jakich użyło im niebo, przekazali mi tylko jeden, to jest tkliwe serce; ale to, co dla nich było szczęściem, stało się źródłem wszystkich nieszczęść mego życia.

Urodziłem się nawpół umarły; niewiele było nadziei utrzymania mnie przy życiu. Przyniosłem na świat zaród dolegliwości, która wzmogła się z latami ¹⁾ i która teraz daje mi niekiedy folgę jedynie poto, aby mi kazać cierpieć jeszcze okrutniej, choć w odmienny sposób. Siostra ojca, miła i zacna dziewczyna, otoczyła mnie opieką tak tkliwą, że mnie uratowała. W chwili gdy piszę te słowa, żyje jeszcze i pielęgnuje, mając ośmdziesiąt lat, męża młodszego od

¹⁾ Wrodzona wada pęcherza, utrudniająca oddawanie moczu.

niej, ale zniszczonego trunkiem. Droga ciotko, przebaczam ci, że utrzymałaś mnie przy życiu, i boleję, iż nie mogę, na schyłku twoich dni, oddać ci tkliwych starań, które mi otoczyłaś w niemowlęctwie. Żyje także piastunka Joanna, czerstwa do dziś i zdrowa. Ręce, które mi otworzyły oczy przy urodzeniu, będą mi je mogły zamknąć.

Zacząłem wcześniej czuć niż myśleć: to wspólna dola ludzkości. Doświadczyłem jej bardziej niż ktokolwiek. Nie wiem, com robił do pięciu lub sześciu lat. Nie wiem, jak nauczyłem się czytać; pamiętam jedynie chwile pierwszych czytań i wrażenia które im zawdzięczam; od tego czasu, towarzyszy mi już nieprzerwanie świadomość. Po matce zostały jakieś powieści; zaczęliśmy je z ojcem czytywać wspólnie, po wieczery. Zrazu, chodziło o to, aby mnie zaprawić w czytaniu, przy pomocy zajmujących książek; ale, niebawem, przykuły nas do tego stopnia, iż czytaliśmy kolejno bez przerwy i spędzali na tem całe noce. Nie byliśmy w stanie oderwać się przed skończeniem tomu. Niekiedy, ojciec, słysząc ranne jaskółki, powiedział zawstydzony: Kładźmy się spać; większy ze mnie dzieciak od ciebie.

Dzięki tej niebezpiecznej metodzie, posiadłem, w krótkim czasie, nie tylko nadzwyczajną łatwość czytania i rozumienia, ale także niezwykłą na mój wiek inteligencję uczuć. Nie miałem najmniejszego pojęcia o rzeczach, kiedy wszystkie uczucia były mi znajome. Nic nie pojmowałem jeszcze, a wszystko już czułem. Te mgliste wzruszenia nie zamąciły mi rozumu, którego jeszcze nie miałem, ale stworzyły we mnie rozum jakiś odmienny, innego rodzaju, i dały mi o życiu ludzkim dziwaczne i romantyczne pojęcia, z których doświadczenie i refleksja nigdy mnie nie zdołały zupełnie wyleczyć.

(1719—1723). Powieści skończyły się z latem roku 1719. Następną zimy przyszło co innego. Wyczerpawszy bibliotekę matki, sięgnęliśmy do książek, które zostały się nam po jej ojcu. Szczęściem, znalazło się między nimi wiele dzieł wartościowych: nie

mogło być inaczej w bibliotece pastora, to prawda, i uczonego nawet, było to bowiem podówczas w modzie, ale człowieka światłego i z dobrym smakiem. *Historja Kościoła i Cesarstwa* przez Lesneura; *Rozprawy* Bossueta o *historji powszechnej*; *Znakomici mężowie* Plutarcha; *Historja Wenecji* Naniego; *Metmarfozy* Owidiusza; La Bruyère; *Światy* Fontenelle'a; tegoż *Rozmowy umarłych* i parę tomów Moliera przewędrowały do pracowni ojca, gdzie mu je czytywałem gdy pracował. Nabrałem do tych dzieł szczególnego i niezwykłego w tym wieku upodobania. Plutarch zwłaszcza stał się mą ulubioną lekturą. Rozkosz, jaką znajdowałem w odczytywaniu go bez przerwy, wyleczyła mnie nieco z romansów; wkrótce Agesilaus, Brutus i Arystydes stali mi się miłsi od Orondata, Artamena i Juby. W tym szale czytania, w rozmowach, jakie toczyliśmy z ojcem, wytworzył się we mnie ów wolny i republikański duch, ów charakter nieokiełzany i hardy, czuły na jarzmo i niewolę, który mnie dręczył przez całe życie w sytuacjach najmniej sposobnych. Nieustannie pochłonięty Rzymem i Atenami, żyjąc, niejako z ich wielkimi mężami, urodzony sam jako obywatel rzeczypospolitej i syn ojca u którego miłość ojczyzny była najsilniejszą namiętnością, rozpłomieniałem się za jego przykładem; zdawało mi się że jestem Grekiem lub Rzymianinem; stawałem się osobą której czytałem żywot. Kiedy czytałem historję ich hartu i nieustraszonych czynów, oczy błyszczały mi jaśniej, głos stawał się potężniejszy. Jednego dnia, opowiadając przy stole przygodę Scewoli, ku przerażeniu wszystkich omal nie włożyłem ręki w płomień, aby tem żywiej przedstawić jego postępek.

Miałem brata, starszego odemnie o lat siedem. Kształcił się w rzemiośle ojca. Niezmierne przywiązanie ojca do mnie sprawiało, iż zaniedbywał brata, czego mu bynajmniej nie chwałę. Wychowanie chłopca ucierpiało na tem. Przyzwyczaił się do swywoli, zanim jeszcze osiągnął wiek w którym przywary młodości dochodzą do głosu. Oddano go do innego majstra, skąd wymykał się niejednokrotnie, jak wprzód z domu rodzicielskiego. Nie widy-

wałem go prawie wcale; ledwie mogę powiedzieć żeśmy się znali; mimo to kochałem go czule i on mnie także, o ile taki wisus zdolny jest coś kochać. Przypominam sobie, iż raz, gdy ojciec karmił go surowo, rzuciłem się między nich, obejmując brata z całych sił. Osloniłem go swoim ciałem, przyjmując ciosy przeznaczone dla niego, i tak zaciekle się w tej pozycji, iż wkońcu ojciec musiał mu darować, bądź rozbrojony mojami łzami, bądź czując, iż kara godziłaby dotkliwiej we mnie niż w brata. Wkońcu, chłopiec zeszedł na tak złe drogi, iż uciekł i znikł zupełnie. Doszły słuchy, że jest w Niemczech. Nie napisał do domu ani razu. Od tego czasu, nie było o nim wiadomości, i oto jak zostałem jedynakiem.

Jeśli wychowanie tego nieboraka zostawiało wiele do życzenia, inaczej było ze mną; dzieci królewskie nie mogłyby się cieszyć staranniejszą opieką niż ja w pierwszych latach. Ani razu, do czasu w którym opuściłem dom rodzicielski, nie zdarzyło się aby mi pozwolono uganiać po ulicy z innemi dziećmi; nigdy nie było potrzeby poskramiać we mnie ani zaspakajać owych kaprysów, które przypisuje się naturze, a które rodzą się jeno z błędnego wychowania. Miałem przywary mego wieku; byłem papla, łakotniś, niekiedy kłamałem. Zdarzyło mi się ściągnąć owoce, cukierki, łakocie; ale nigdy nie szukałem przyjemności w robieniu złego, w wyrządzaniu szkody, składaniu winy na drugich, w dręczeniu biednych zwierząt. Przypominam sobie wszelako, iż raz nasiusiałem do rondla sąsiadki, pani Klot, gdy była na kazaniu. Przyznaję nawet, że to wspomnienie jeszcze mnie śmieszy, pani Klot bowiem, dobra zreżtą kobiecina, była najzrędniejszą staruszką jaką spotkałem. Oto krótka i szczerza spowiedź z występków młodości.

Jakże miałbym się stać złym, gdy przed oczyma miałem same jeno przykłady słodczy i naokoło siebie najlepszych ludzi pod słońcem? Ojciec, ciotka, piastunka, krewni, przyjaciele, sąsiedzi, całe otoczenie, nie ulegali mi, to prawda, ale mnie kochali; i ja ich. Wola moja spotykała tak mało podniet i tak mało zapór, że nie przychodziło mi na myśl ją objawiać. Mogę przysiąc, że, aż do

czasu kiedy się dostałem pod jarzmo zwierchnika, nie wiedziałem nawet co to kaprys. Wyjawszy czas pisania i czytania pod okiem ojca, albo przechadzki z piastunką, przebywałem zawsze w towarzystwie ciotki, patrząc jak haftuje, słuchając jak śpiewa, stojąc lub siedząc przy niej; i czułem się szczęśliwy. Jej wesołość, słodycz, miła fizjognomja, odcisnęły się we mnie tak silnie, że widzę jeszcze jej twarz, spojrzenie, ruchy: przypominam sobie pieszczotliwe słówka; umiałbym opisać jak była ubrana i uczesana, wszystko, aż do dwóch ciemnych loczków na skroniach, wedle ówczesnej mody.

Jestem przekonany, że jej zawdzięczam upodobanie albo raczej namiętność do muzyki, namiętność, która rozwinęła się o wiele później. Umiała moc piosenek i nuciła je głosem pełnym słodyczy. Pogoda duszy tej przemilej dziewczyny oddalała od niej, i od wszystkiego co ją otaczało, zadumę i smutek. Śpiew jej miał dla mnie taki urok, że nie tylko wiele z jej piosenek utrwaliło mi się na zawsze w pamięci, ale nawet teraz, w miarę jak się starzeję, przypominają mi się nowe, zapomniane od dzieciństwa, i wprawiają mnie w zachwyt którego nie umiem wprost opisać. Czy powiedziałby ktoś, że ja, stary mantyka, zużyty troskami i niedolą, chwytam się niekiedy na tem, iż płaczę jak dziecko, mamrocząc te nikłe aryjki głosem złamanym już i drżącym!

Jedna z nich zwłaszcza przypomniała mi się w całości, przynajmniej melodia, bo część słów stale mi ginie, mimo że mętnie pobrzękują mi jej rymy. Zastanawiam się w czem tkwi rozrzucający urok, jaki serce moje znajduje w tej piosence; jest to kaprys, którego nie umiem zrozumieć, ale niepodobna mi wręcz prześpiewać jej do końca iżby lzy nie przerwały mi śpiewania. Sto razy myślałem napisać do Paryża o reszcie słów, o ile ktoś zna je jeszcze. Ale jestem prawie pewny, że przyjemność którą znajduję w przypominaniu sobie tej aryjki rozwiłaby się, gdybym miał dowód, iż śpiewał ją kto inny prócz biednej ciotki Zuzi.

Takie były pierwsze przywiązania w zaraniu mego życia; tak zaczynało się kształtować i objawiać we mnie to serce, tak harde

i tak tkliwe, ten charakter niemal kobieco słaby a jednak niezłomny, który, bujając nieustannie między słabością a męstwem, między gnuśnością a hartem, do końca wtrącał mnie w sprzeczności i sprawił, iż powściągliwość i użycie, rozkosz i umiarkowanie, zarówno pozostały mi niedoścignione.

Wychowanie to uległo przerwie, wskutek wypadku, którego następstwa rozstrzygnęły o mem życiu. Ojciec pokłócił się z niejakim panem Gautier, kapitanem francuskim, mającym krewnych w Radzie. Ów Gautier, człowiek bezczelny i podły, skorzystał z lekkiego broczenia nosa, aby, przez zemstę, obwinić ojca, iż dobył nań szpady w obrębie miasta. Ojciec, którego chciano wtrącić do więzienia, uparł się, aby, wedle litery prawa, oskarżyciela jego również uwięziono: nie mogąc tego uzyskać, wołał opuścić Genewę i kraj na całe życie, niż ustąpić w tem w czem widział naruszenie honoru i wolności obywatela.

Zostałem pod opieką wuja Bernarda, wówczas zatrudnionego przy fortyfikacjach Genewy. Starsza jego córka umarła, ale miał syna mniej więcej w moim wieku. Umieszczono nas razem w Bossey, u pastora Lambercier, abyśmy wypchali sobie głowy łaciną, oraz wszelakiem innem rupieciem które zaszczyca się mianem wykształcenia.

Dwa lata spędzone na wsi złagodziły nieco mą rzymską surowość i wróciły mnie do stanu dzieciństwa. W Genewie, gdzie mi wogóle nie narzucano nic, a już nigdy nauki ani czytania, było ono mą jedyną rozrywką; w Bossey, przymus pracy obudził we mnie smak do zabaw, które stanowiły po niej ożywcze wytchnienie. Wiś była dla mnie czemś tak nowem, że nie mogłem się nią nasycić. Nabrałem do niej upodobania, które nigdy we mnie nie wygasło. Wspomnienie szczęśliwych dni na wsi kazało mi wciąż żałować jej uciech i słodyczy, aż wreszcie sprowadziło mnie ku niej z powrotem. Pan Lambercier był to człowiek bardzo rozsądny; nie zaniedbując wychowania, nie przeciążał nas wszakże. Za dowód iż brał się dobrze do swego zadania, może służyć, iż, mimo odrazy do

wszelkiego przymusu, nigdy nie wspominałem ze wstrętem czasu moich nauk; a jeżeli nie nauczyłem się zbyt wiele, to czegom się nauczył posiadałem bez trudu i trwale.

Prostota wiejskiego życia dała mi nieoszacowany skarb, otwierając me serce na uroki przyjaźni. Do tego czasu znałem jedynie uczucia podniosłe, ale urojone. Wspólne życie wśród spokojnych trudów i wywczaśów spoilił mnie tkliwym węzłem z kuzynem mym Bernardem. Niebawem nabrałem dlań uczuć serdeczniejszych niż kiedykolwiek żywiłem je dla brata; a uczucia te nie zatarły się nigdy. Był to wyrośnięty chłopak, szczupły i wątły, równie łagodnego charakteru jak słabych sił fizycznych, dzięki czemu nie nadużywał uprzywilejowanej pozycji, jaką posiadał w domu jako syn mego opiekuna. Mieliśmy jednakie zajęcia, zabawy, upodobania; byliśmy sami, rówieśnicy, każdy zarówno czuł potrzebę towarzysza; rozdzielić nas, znaczyłoby niejako unicestwić obu. Przywiązanie nasze, mimo iż niewiele mieliśmy sposobności aby go sobie dowieść, było ogromne; nietylko nie mogliśmy żyć rozłączeni, ale nie wyobrażaliśmy sobie aby to było możebne. Obaj mieliśmy usposobienia łatwe do prowadzenia łagodnością i podatne o ile ktoś nie chciał nagiąć nas przemocą; z sobą godziliśmy się zawsze na wszystkich punktach. Jeżeli, dzięki wyróżnieniu naszych wychowawców, on miał nademną przewagę pod ich okiem, to znów, kiedy byliśmy sami, ja brałem górę; w ten sposób, utrzymywała się równowaga. W czasie nauki, podpowiadałem lekcję gdy nie był jej pewny; uporawszy się z zadaniem, pomagałem jemu; w zabawach, ja, bardziej rzutki, byłem przodownikiem. Słowem, zgadzaliśmy się tak dobrze i żyliśmy w tak szczerzej przyjaźni, że, w ciągu pięciu lat nierozłącznego pożycia, tak w Bossey jak w Genewie, biliśmy się często, to prawda, ale nigdy nie było trzeba nas rozłączać, nigdy kłótnia nie trwała dłużej kwadransa, i nigdy, ani razu, żaden nie poskarżył się na drugiego. Te szczegóły mogą się komu wydać blahe, jednakże zawarty w nich przykład jest może jedyny od czasu jak istnieją dzieci.

Życie, jakie pędziliśmy w Bossey, odpowiadało mi tak dobrze, że, gdyby potrwało dłużej, zdecydowałoby o moim charakterze. Podstawę jego stanowiły uczucia tkliwe, serdeczne, łagodne. Sądzę iż nie było człowieka, któryby, z natury, mniej był próżny odemnie. Wznosiłem się w chwili wybuchu do najszczytniejszych wzruszeń, ale niebawem opadałem w zwykłe rozmarzenie. Być kochanym przez wszystkich, to było moje najwyższe pragnienie. Byłem łagodny, mój krewniak również, toż i nasi wychowawcy. Przez całe dwa lata, nie byłem ani świadkiem ani ofiarą gwałtowniejszego wstrząsu. Wszystko podtrzymywało w mem sercu skłonności wszczepione przez naturę. Nie znałem większego szczęścia, niż widzieć że wszyscy są radzi ze mnie i ze świata. Przypominam sobie dziś jeszcze, jak, kiedy nas egzaminowano w kościele z katechizmu i zdarzyło mi się zająknąć, największą troską dla mnie były oznaki niepokoju i zmartwienia na twarzy panny Lambercier. To jedno trapiło mnie bardziej niż niepowodzenie publiczne, które wszakże dotykało mnie mocno: mało wrażliwy na chwalby, byłem zawsze bardzo czuły na wstyd; mimo to, mogę rzec, iż spodziewane wymówki panny Lambercier mniej mnie dręczyły niż obawa jej przykrości.

Bądź co bądź, w razie potrzeby, umiała ona uciec się do surowości, jak również i jej brat; ponieważ jednak ta surowość, prawie zawsze sprawiedliwa, nigdy nie była wywołana uniesieniem, cierpiałem, ale się nie buntowałem. Bardziej niż kara, bolała mnie utrata ich łaski, a świadomość niezadowolenia była mi dotkliwsza niż jego następstwa. Trudno mi ściślej się wytłumaczyć, a jednak trzeba. Zmienionoby niewątpliwie metody postępowania z młodzieżą, gdyby lepiej widziano najdalsze skutki owego pedagogicznego środka, stosowanego zawsze bez rozwagi, niekiedy bez miary! Przykład mój, równie pospolity jak oplakany, może posłużyć za naukę: to ekłania mnie do przytoczenia go tutaj.

Panna Lambercier, przywiązana do nas jak matka, miała i władzę matki i posuwała ją niekiedy, o ileśmy zasłużyli, aż do dotkli-

wej kary, zazwyczaj stosowanej u dzieci. Dość długo poprzestawała na groźbie, a ta groźba kary, całkiem mi nieznanej, przerażała mnie niezmiernie. Po egzekucji wszelako wydała mi się ona mniej straszna, niż samo oczekiwanie; a co najosobliwsze, to iż kara ta przywiązała mnie jeszcze do osoby, z której rąk jej doznałem. Trzeba nawet było całej szczerości tego przywiązania i wrodzonej mej łagodności, aby mnie powstrzymać od pokusy powtórnego zasłużenia na tę karę; w tym bólu bowiem, we wstydzie nawet, znalazłem domieszkę zmysłowej rozkoszy, której wspomnienie, silniejsze od obawy, budziło we mnie raczej chęć doznania jeszcze raz tych samych wzruszeń z tej ręki. Bez wątpienia, musiało się w tem przejawiać jakieś przedwczesne pobudzenie płciowe, bo sama kara, o ilebym jej doznał z rąk np. pastora, nie byłaby mi wcale przyjemna. Ale, wobec jego usposobienia, substytucja ta nie groziła wcale; jeżeli tedy wstrzymywałem się od ochoty zasłużenia na karę, to jedynie z obawy zmartwienia panny Lambercier; każde bowiem przywiązanie, nawet to które zrodziło się pod wpływem zmysłów, zawsze brało nad zmysłami górę.

Ta recydywa, którą oddalałem, nie lękając się jej wszelako, przysła wreszcie bez mej winy, to znaczy bez mej woli: skorzystałem z niej, mogę rzec, ze spokojnem sumieniem. Ale ten drugi raz był zarazem ostatnim. Panna Lambercier, spostrzegłszy zapewne, po jakimś objawie, że kara mija się z celem, oświadczyła iż rezygnuje z niej jako zbyt dla niej nużącej. Dotąd sypialiśmy w jej pokoju, w zimie niekiedy w jej łóżku: w dwa dni potem pomieszczono nas na noc gdzieindziej. Odtąd (czego byłbym się chętnie wyrzekł), miałem zaszczyt być przez nią traktowany jako duży chłopiec.

Któżby uwierzył, że ta dziecinna kara, otrzymana przez ośmioletniego chłopca z rąk trzydziestoletniej panny, rozstrzygnęła o mych upodobaniach, pragnieniach, namiętnościach, o mnie całym, na całe życie, i to właśnie w kierunku przeciwnym temu, który, naturalnym sposobem, powinienby stąd wynikać? Równocze-

śnie z tem rozpaleniem zmysłów, pożądania moje wypaczyły się w taki sposób, iż, zamykając się w sferze poznanych wrażeń, nie troszczyły się o szukanie innych. Z krwią przepaloną zmysłami niemal od urodzenia, uchowałem się czysty od zmazy do wieku, w którym najzimniejsze i najbardziej spóźnione temperamenty przychodzą do głosu. Dręczony długo sam nie wiedząc czem, pożerałem płomiennem okiem piękne kobiety; wyobrażenia moja przyzywała je nieustannie jedynie poto, aby im kazać działać w myśl moich upodobań, i wskrzeszać, pod ich postacią, pannę Lambercier i jej egzekucję.

Nawet po okresie dojrzewania, to dziwne upodobanie, wciąż trwające i posunięte aż do deprawacji, do szaleństwa, zachowało we mnie czystość obyczajów, z której, na pozór, powinnooby mnie obedrzeć. Wychowanie moje było w najwyższym stopniu czyste i skromne. Ciotki moje były to osoby nietylko rzadkiej cnoty, ale i wstydlivości oddawna już w tym stopniu nieznaney kobietom. Ojciec, człowiek lubiący żyć, ale po staroświecku dworny, nigdy, w obecności kobiet najbardziej mu miłych, nie odezwał się słowem któreby mogło przyprowadzić o rumieniec dziewicę. Nigdy chyba dalej niż w mojej rodzinie i w mojej obecności nie posunięto względów winnych dzieciom. Nie mniej uwagi znalazłem w domu pana Lambercier: bardzo zdatną służącą odprawiono bezzwłocznie za jedno swobodne słowo, na które pozwoliła sobie przy nas. Nietylko, aż do młodzieńczego wieku, nie miałem wyraźnego pojęcia o stosunkach płci, ale i te mgliste domysły przedstawiały mi się zawsze jako obraz pełen wstrętu i ohydy. Dziewczyny publiczne budziły we mnie grozę, która nigdy się nie zatarła: nie mogłem patrzeć na rozpustnika bez wzgardy, bez przerażenia nawet. Odraza moja do rozpusty datowała od czasu, gdy raz, idąc jarem, ujrzałem, po obu stronach drogi, zagłębienia w ziemi, i gdy mi powiedziano, że tam ci ludzie chronią się parami dla swoich czynności. Obraz ten znalazł mi się w jedno z obrazem parzących się psów, które widywałem czasem; czułem w gardle spazm wstrętu na samo wspomnienie.

Temu wychowaniu, które już samo wystarczało aby opóźnić pierwsze wybuchy zapalnego temperamentu, przyszedł w pomoc, jak rzekłem, rodzaj zboczenia, które skojarzyło się u mnie z pierwszym pobudzeniem zmysłów. Umiałem sobie wyobrazić jedynie to, co już odczułem: mimo dokuczliwego burzenia się krwi, nie umiałem tedy kierować pragnień ku innej rozkoszy prócz tej jaka mi była znana; nigdy mi nie przychodziła na myśl ta, którą mi tak zohydzono, a która, bez najmniejszej świadomości z mej strony, tak była tamtej pokrewna. W naiwnych chimerach wyobraźni, w erotycznych uniesieniach, w warjackich postępkach do których mnie nieraz popychały, uciekałem się w imaginacji do pomocy płci odmiennej, nie przypuszczając ani na chwilę, aby ta płeć mogła służyć do innego użytku, prócz tego który jej dawałem w marzeniach.

W ten sposób, obdarzony temperamentem bardzo zapalnym, bardzo zmysłowym, bardzo wczesnym, przebyłem okres dojrzewania, nie doznawszy innych pragnień, nie znając innych rozkoszy, prócz tych których świadomość wszczepiła mi, w niewinności ducha, panna Lambercier; a kiedy, z postępem lat, stałem się wreszcie mężczyzną, i wówczas to, co mnie powinno było zgubić, ocaliło mnie. Dawna skłonność dziecka, miał wygasnąć, połączyła się tak ściśle z inną, że nigdy nie mogłem jej zupełnie usunąć z rozplamionych zmysłów; szaleństwo to, w połączeniu z wrodzoną nieśmiałością, czyniło mnie bardzo mało przedsiębiorczym wobec kobiet. Nie śmiałem wszystkiego powiedzieć, a nie mogłem wszystkiego wykonać, ponieważ tej rozkoszy, której inna rozkosz była dla mnie jedynie szczytem, nie może wziąć poprostu ten który jej pragnie, ani nie może go odgadnąć ta, która mogłaby jej udzielić. W ten sposób, przebyłem życie pożądając i ukrywając moje pożądania przy boku osób które kochałem najwięcej. Nie śmiejąc nigdy wyznać mych upodobań, oszukiwałem je bodaj, dając stosunkom moim formy pokrewne. Przechywał u kolan despotycznej kochanki, ulegać jej rozkazom, żebrać przebaczenia, było dla mnie najslodszą rozkoszą; im bardziej rozpalona wyobraźnia smagała mi krew,

tem bardziej, na zewnątrz, miałem postać trwoźnego wielbiciela. Łatwo zrozumieć, że ten sposób okazywania miłości nie prowadzi do zbyt szybkich postępów i nie zagraża cnocie osób będących jej przedmiotem. Posiadałem też w życiu kobiet bardzo niewiele; mimo to, przeżyłem wiele na swój sposób, przez wyobraźnię. Oto jak moje zmysły, jednocząc się z nieśmiałym usposobieniem i romantyczną głową, zachowały mi czystość uczuć i skromność obyczajów, dzięki tym samym skłonnościom, które, przy większej śmiałości, byłyby mnie zanurzyły w odmęt zezwierzęcenia.

Uczyniłem pierwszy i najtrudniejszy krok w ciemnym i bagnistym labiryncie mej spowiedzi. Nie to najciężej wyznać, co w nas jest zbrodnicze, ale co wstydlive i śmieszne. Odtąd, jestem już pewien siebie; po tem com ośmielił się powiedzieć, nic mnie nie powstrzyma. Ile musiało mnie kosztować podobne wyznanie, można osądzić z tego, iż, przez całe życie, opanowany niekiedy, przy boku istot które kochałem, namiętnością odejmującą mi wprost wzrok i słuch, wpół przytomny i drżący konwulsyjnie na ciele, nigdy przecież nie mogłem się zdobyć na to, aby wyznać me szaleństwo i, nawet w najpoufniejszej sytuacji, błagać o jedyną łaskę której mi brakło. Zdarzyło mi się to raz tylko, w dzieciństwie, z dziewczyną w moim wieku, a i wówczas propozycja wyszła raczej od niej.

Wracając oto myślą do pierwszych śladów życia uczuciowego, odnajduję w niem składniki, które, sprzeczne niekiedy na pozór między sobą, stopiły się, mimo to, wywołując z całą siłą jednolite i proste objawy; inne znowuż, na pozór jednorakie, kształtowały się, przez zbieg okoliczności, w kombinacje tak różnorodne, że nie można sobie wręcz wyobrazić, aby pomiędzy nimi istniał jaki związek. Ktoby mniemał na przykład, iż jedna z najsilniejszych sprężyn duszy hartowała się w tem samem źródle, z którego spływały w nią krew miękkość i zmysłowość? Nie opuszczając przedmiotu, o którym mówiliśmy poprzednio, wprowadzę czytelnika w bardzo odmienną sferę wrażeń.

Siedziałem, jednego dnia, sam nad lekcją w pokoju przy kuchni. Służąca rozłożyła na blasze grzebienie panny Lambercier. Kiedy wróciła po nie, okazało się, iż w jednym wszystkie zęby były polamane. Kogo posądzić o tę psotę? Nikt prócz mnie nie wchodził do pokoju. Biorą mnie na spytki: zaklinam się, że nie ruszałem grzebienia. Państwo Lambercier wzywają mnie, napominają, przypierają do muru, grożą: wciąż przeczę. Poszlaki były wszelako zbyt silne i przeważyły wszystkie zaklęcia, mimo że pierwszy raz zdarzyło się spotkać u mnie z tak zuchwałem kłamstwem. Złośliwość, kłamstwo, upór, wszystko to było godne najsurowszej kary; ale tym razem nie panna Lambercier mi ją wymierzyła. Napisano do wuja: przybył. Mój biedny krewniak pozostawał pod zarzutem innego, niemniej ciężkiego występku: objęto nas wspólną egzekucją. Była straszliwa. Gdyby, szukając lekarstwa w samem źródle złego, ktoś chciał na zawsze przytłumić me zbłąkane zmysły, nie mógłby się lepiej wziąć do dzieła. Od tego czasu zostawiły mnie długo w spokoju.

Nie było sposobu wydobyć ze mnie wyznania. Brany na kilkanaście zawodów do kaźni i doprowadzony do najopłakaniejszego stanu, pozostałem niewzruszony. Bylbym przeniósł śmierć i byłem na nią zdecydowany. Wkońcu, nawet siła musiała ustąpić wobec szatańskiego uporu dziecka; nie doświadczano już więcej mej stałości. Wyszedłem z okrutnej próby poszarpany na strzępy, ale tryumfujący.

Upłynęło blisko pięćdziesiąt lat od tej przygody i nie obawiam się już aby mnie powtórnie ukarano; otóż, oznajmiam w obliczu nieba, że byłem niewinny. Nie zламаłem ani nie dotykałem grzebienia, nie zbliżyłem się do blachy, nawet mi to w myślach nie postało. Niech nikt nie pyta, w jaki sposób stała się szkoda; nie wiem i nie pojmuję: to jedno wiem, że nie ja byłem winny.

Niech sobie teraz czytelnik wyobrazi charakter nieśmiały i łatwy w życiu codziennem, ale żarliwy, hardy, niezłomny w uczuciach; dziecko zawsze prowadzone rozsądkiem, słodyczą, wyrozu-

miałością, uprzejmością, które nawet nie miało pojęcia o istnieniu niesprawiedliwości, i które, pierwszy raz, doznaje jej, i to w tak straszliwej postaci, ze strony osób, dotąd będących dlań przedmiotem czci i ukochania: co za przewrót! co za zamęt uczuć! co za wstrząs w sercu, w mózgu, w całej drobnej duchowej i moralnej istotce! Powiadam, niech sobie ktoś wyobrazi, o ile możebne, gdyż, co do mnie, nie czuję się zdolny rozplątać ani pochwycić najmniejszego śladu tego co się wówczas we mnie działo.

Nie miałem jeszcze dość zastanowienia, aby ocenić do jakiego stopnia pozory mnie potępiały i aby się postawić na miejscu drugich osób. Czulem jedynie okrucieństwo kary za zbrodnię której nie popełniłem. Cierpienie fizyczne, jakkolwiek bolesne, mało mnie dotykało; czulem jedynie oburzenie, wściekłość, rozpacz. Mój krewniak, w położeniu mniejwięcej podobnem, gdyż ukarano go za mimowolny błąd jakgdyby za czyn rozmyślny, wpadał we wściekłość za moim przykładem i dostrajał się do mego tonu. Leżąc w jednym łóżku, ściskaliśmy się konwulsyjnie, dławiliśmy się; i kiedy nasze młode ciała, nieco przyszedłszy do siebie, mogły wyrazić swoje wzburzenie, podnosiliśmy się, wpół siadając na łóżku i krzyczeliśmy po sto razy ile tchu: *Carnifex! carnifex! carnifex!*

Czuję, pisząc to dziś jeszcze, że puls wali mi jak młotem; te chwile będą mi zawsze przytomne, choćbym żył sto tysięcy lat. To pierwsze zetknięcie z gwałtem i niesprawiedliwością pozostało tak głęboko wryte w mej duszy, że sama myśl o tem wprawia mnie w dawne wzruszenie. Uczucie to, zrodzone zrazu z pobudek osobistych, takiej nabrało mocy i tak oderwało się od osobistego interesu, iż serce moje rozpala się od widoku lub opowieści niesprawiedliwego postępku, na kimkolwiek i gdziekolwiek popełnionego, tak jakbym sam był jego ofiarą. Kiedy czytam o okrucieństwach tyrana, o matactwach przewrotnego klechy, gotówbym natychmiast zasztyletować nędznika, choćbym miał po stokroć zginać. Nieraz zdyszałem się i spociłem cały, ciskając kamieniami za kogutem, krową, psem, jakimkolwiek zwierzęciem, które w moich

oczach dręczyło drugie jedynie dlatego iż czuło się silniejsze. Ten odruch jest może u mnie wrodzony, i mniemam że tak jest; ale wspomnienie pierwszej niesprawiedliwości z pewnością przyczyniło się znacznie do jego wzmocnienia.

Tu znaczy się kres mej dziecięcej pogody. Od tej chwili, przestałem cieszyć się niezmaconem szczęściem, i czuję dziś jeszcze, że wspomnienie uroków dzieciństwa kończy się tutaj. Zostaliśmy w Bossey jeszcze kilka miesięcy. Żyliśmy odtąd tak, jak nam malują pierwszego człowieka, gdy jeszcze mieszka w Raju, ale już pozbawiony jego słodyczy. Na pozór, sytuacja ta sama, w istocie treść zupełnie odmienna. Przywiązanie, szacunek, ufność, swoboda wobec wychowawców zgasły. Nie patrzyliśmy już na nich jak na bogów, którzy czytają w sercach; mniej wstydziliśmy się złych uczynków, a bardziej lękali posądzenia; zaczęliśmy się kryć, udawać, kłamać. Zwykle przywary skazyły dawną niewinność i wdzięk naszych zabaw. Wieś nawet straciła w naszych oczach urok słodyczy i prostoty; opustoszała i pępna, pokryła się jakgdyby oponą przesłaniającą jej piękność. Przestaliśmy pielęgnować nasze ogródki, ziola, kwiaty. Nie spieszyliśmy już lekko rozdrapywać ziemię i krzyczeć z radości odkrywając kielek ziarna, któreśmy posiali. Zbrzydło nam to życie; myśmy zbrzydlili wszystkim; wreszcie, wuj odebrał nas i tak rozstaliśmy się z państwem Lambercier, przeyceni sobą wzajem i niezbyt bolejąc nad rozłąką.

Przez blisko trzydzieści lat od mego rozstania się z Bossey, nie zdarzyło mi się wspominać owego pobytu w sposób przyjemny i z pewnem skupieniem; ale od czasu gdy, przekroczywszy wiek dojrzały, pochylilem się ku starości, czuję, że te właśnie wspomnienia odżywają w miarę zacierania się innych i utrwalają się w mej pamięci, zyskując na wdzięku i sile: jakgdybym, czując uciekanie życia, starał się je pochwycić u samych początków. Najmniejsze ówczesne zdarzenia radują mnie, przez to jedynie że są z tego czasu. Przypominam sobie wszystkie okoliczności dotyczące miejsc, osób, godzin. Widzę pokojową albo służącego krzątających się po

pokoju, jaskółkę wpadającą przez okno, muchę siadającą mi na ręce gdy wydaję lekcje: widzę całe umeblowanie naszego pokoju; gabinet pana Lambrecier po prawej, sztych przedstawiający wszystkich papieży, barometr, kalendarz, krzaki malin pchające się do okien. Wiem, że czytelnik nie jest ciekaw tego wszystkiego, ale ja czuję potrzebę powiedzenia mu o tem. Czemuż nie śmiem opowiedzieć mu tak samo wszystkich drobnych wydarzeń tego błogiego czasu, który przyprawia mnie jeszcze o dreszcz szczęścia, kiedy go wspomnę! Kilka zwłaszcza... Ułożmy się. Daruję wam resztę anegdot; chcę tylko jedną jedyną, byle mi wolno było opowiedzieć ją jak najobszerniej, aby przedłużyć chwile mej rozkoszy.

Gdyby mi chodziło tylko o waszą zabawę, mógłbym wybrać historję o kuperku panny Lamercier, który, wskutek nieszczęśliwego koziołka w rów przydrożny, ukazał się w całej okazałości królowi Sardynji w czasie jego przejazdu; ale historia orzecha na terasie zabawniejsza jest dla mnie, który byłem jej aktorem, gdy przy owym koziołku byłem jedynie widzem; a przyznaję, że wcale nie było mi do śmiechu w chwili owego wypadku, który, mimo iż sam w sobie komiczny, przejął mnie niepokojem o osobę, tak drogą dla mnie jak matka, a może bardziej.

O wy, ciekawi czytelnicy wspomniałych dziejów orzecha, słuchajcie jego straszliwej tragedji, i, jeżeli zdołacie, wstrzymajcie się od drżenia!

Za bramą, po lewej ręce przy wjeździe, znajdowała się terasa, na której siadywało się często po obiedzie, ale która nie miała cienia. Aby temu zaradzić, pan Lamercier posadził tam orzech. Zasadzenie drzewa odbyło się z wielką uroczystością. Dwaj pensjonarze byli rodzicami chrzestnymi: gdy zasypywano wydrążenie w ziemi, my, wśród tryumfalnych śpiewów, trzymaliśmy, każdy jedną ręką, drzewo. Aby je podlewać, wyłobiono dokoła, u jego stóp, małą sadzawkę. Mój krewniak i ja, żarliwi spektatorzy tego codziennego podlewania, umacnialiśmy się w bardzo naturalnej idei,

umiejętność tak gorliwie, że żaden łakomy przedmiot, o ile znalazł mi się pod ręką, nie był bezpieczny. Żywiono mnie u majstra nie-
źle; wstrzemięźliwość była mi tylko przez to tak przykra, iż on sam, w moich oczach, przekraczał często jej granice. Zwyczaj wy-
prawiania od stołu chłopców w chwili gdy się podaje potrawy naj-
bardziej im pojętne, jest, mojem zdaniem, bardzo skuteczny aby
z nich zrobić łakomców i złodziei. Stałem się, w krótkim czasie,
jednym i drugim: i wcale mi się z tem dobrze działo na codzień,
bardzo źle natomiast od czasu do czasu, gdy mnie złapano na go-
rącym uczynku.

Jest wspomnienie, które przyprawia mnie wraz o śmiech
i o dreszcze, mianowicie wyprawa na jabłka, bardzo smutna w na-
stępstwach. Te jabłka znajdowały się w spiżarni, do której, zapo-
mocą wysoko umieszczonego okienka, przedostawało się światło
dienne z kuchni. Jednego dnia, znalazłszy się sam w domu, wdra-
pałem się na gzyms, aby obejrzeć w owym ogrodzie Hesperyd cen-
ny owoc, do którego droga była mi zamknięta. Poszedłem po ro-
żen, aby się przekonać, czy, z jego pomocą, nie możnaby tam
sięgnąć; okazał się za krótki. Przedłużyłem go zapomocą drugiego
rożenka, który służył dla drobniejszej zwierzyny: pryncypał lubił
polowanie. Żgnąłem parę razy bez skutku: wkońcu uczułem iż zło-
wilem jabłko. Pociągnąłem ostrożnie: już, już było przy samym
otworze, już miałem je pochwycić. Któż opisze mą boleść? Jabłko
było za duże, nie mogło przeleźć przez dziurę. Ileż wynalazczości
aby je wydobyć! Trzeba było znaleźć podpórki, aby utrzymać rożen
w niezmienionej pozycji, nóż dość długi aby pokrajać jabłko, de-
szczulkę aby je podtrzymać. Z dużym nakładem zręczności i czasu
udało mi się je poćwiartować, w nadziei iż wydobędę je po ka-
walku; ale, ledwo rozpadło się na części, obie połówki runęły na
dno spiżarki. Litościwy czytelniku, uzał się mego strapienia!

Nie straciłem zapалу, ale straciłem wiele czasu. Lękałem
się, by mnie nie zaskoczono; odłożyłem do następnego dnia szcze-

śliwszą próbę i zabrałem się najspokojniej do roboty, nie myśląc o dwóch niedyskretnych świadkach, leżących jako akt oskarżenia na podłodze spiżarki.

Nazajutrz tedy, upatrzwszy sposobność, rozpoczynam nową próbę. Wchodzę na drabinkę, wsuwam rożen, celuję: już byłem bliski trafienia zdobyczy... Niestety, smok nie spał: drzwi spiżarni otwierają się nagle i wychodzi z nich pryncypał, spogląda na mnie z założonemi rękami i mówi: „Tylko śmiało!...“ Tu pióro wpada mi z ręki.

Niebawem oswoiłem się ze złem obchodzeniem i z wszelkiemi karami. Stałem się na nie mniej wrażliwy: wydawały mi się poprostu rodzajem haraczu od kradzieży, który upoważnia mnie niejako do jej uprawiania. Miał obracać oczy wstecz i myśleć o karze, obracałem je wprzód i myślałem o pomście. Skoro mnie bito jak hultaja, uważałem że mam prawo nim być. Mniemałem, że kraść i brać kije, to rzeczy które idą razem i stanowią rodzaj rzemiosła: wypełniając tedy część tego zawodu która zależała ode mnie, zostawiałem pryncypałowi troskę o spełnienie drugiej części. Umocniony tym poglądem, uprawiałem kradzież z większym spokojem niż poprzednio. Mówiłem sobie: „Cóż mi się wreszcie stanie? Dostanę kije. Niech i tak będzie: toć moje przeznaczenie i moja rola“.

Lubię jeść, nie będąc żarłoczny: jestem więcej zmysłowcem niż smakoszem. Zbyt wiele innych zamiłowań odciąga mnie od tej namiętności. Interesowałem się mem podniebieniem jedynie wtedy, gdy serce było bezczynne, a to zdarzało mi się w życiu tak rzadko, że niewiele miałem czasu myśleć o smakołykach. Oto czemu nie długo ograniczałem moje hultajstwa do wiktualów i rozciągnąłem je niebawem na wszystko co mnie nęciło; jeśli nie stałem się formalnym złodziejem, to dlatego, że nigdy nie kusiły mnie pieniądze. We wspólnym warsztacie, majster miał osobny warsztacik zamykany na klucz: znalazłem sposób otwierania drzwiczek i zamykania ich z powrotem tak żeby nikt nie spostrzegł. Tam gospodarowałem sobie w jego przednich narzędziach, najlepszych rysunkach,

formach, we wszystkim co budziło we mnie pożądlivość a co on starał się chować przede mną. W gruncie, kradzieże te były bardzo niewinne, boć rezultat ich szedł, ostatecznie, na dobro pryncypała; ale radość sprawiało mi mieć te drobiazgi, zdawało mi się, że kradnę sam talent wraz z jego wytworami. Pozatem, były tam skrzynki z odpadkami złota i srebra, klejnociki, rzadkie pieniądze. Jeżeli miałem kiedy parę groszaków w kieszeni, to było dużo: mimo to, nie tylko nie ruszyłem nigdy tych skarbów, ale nie przypominam sobie nawet, abym je kiedy obrzucił pożądliwem spojrzeniem: widok ich budził we mnie więcej grozy niż przyjemności. Pewien jestem, że tę grozę przed kradzieżą pieniędzy i wszystkiego co można na nie zmienić, zawdzięczałem wychowaniu. Łączyły się z tem pojęcia hańby, więzienia, kary, szubienicy, które wystarczały aby mnie przerazić gdybym nawet czuł pokusę; gdy zwykle moje nadużycia zdawały mi się jeno psotą, i w istocie nie były czem innem. Wszystko co mi groziło za nie, to jedynie porządne wały z ręki majstra, a z tem godziłem się zgóry.

Ale, jeszcze raz powtarzam, nie czułem nawet pokusy natyle, abym się musiał wstrzymywać; nie było tu walki. Arkusik ładnego papieru do rysowania kusił mnie więcej niż pieniądz za który mógłbym dostać całą ryzę. Ta właściwość charakteru tak wielki miała wpływ na moje postępowanie w wielu okolicznościach, że trzeba mi ją wytłómaczyć.

Podlegałem namiętnościom bardzo gorącym: podczas ich działania, gwałtowność moja dochodzi wręcz ostatecznych granic. Nie znam wówczas ani względów, ani szacunku, ani obawy, ani przyzwoitości; jestem cyniczny, beczelny, brutalny, nieustraszony; nie ma hańby któraby mnie mogła wstrzymać, niebezpieczeństwa któreby mnie przestraszyło: poza jednym przedmiotem, który mnie pochłania, świat dla mnie nie istnieje. Ale to trwa tylko moment; w chwilę potem, popadam w bezwład i obojętność.

W stanie spokoju jestem bezgranicznie bierny, trwożliwy nawet; wszystko mnie uraża, mrozi; mucha zdolna jest mnie wy-

straszyć. Jedno słowo, jeden gest stanowią dla mego lenistwa nie-przeparty wysilek; wstyd i obawa paraliżują mnie tak, że radbym ukryć się przed całym światem. Gdy trzeba działać, nie wiem co robić; gdy trzeba się odezwać, nie wiem co mówić; kiedy na mnie patrzą, czuję się zbity z tropu. Porwany uniesieniem, umiem niekiedy znaleźć wyrazy; ale w zwyczajnej rozmowie nie znajduję nic, zupełnie nic, i każda rozmowa jest mi nieznośna przez to samo że zmuszony jestem mówić.

Zważcie przytem, iż żadne z mych zasadniczych upodobań nie opiera się na rzeczach *do kupienia*. Trzeba mi rozkoszy czystych, a pieniądz każdą zatrzuwa. Lubię naprzykład uciechy stołu; ale, nie mogąc ścierpieć ani przymusu wykwiutnego towarzystwa ani plugastwa traktjerni, umiem ich kosztować jedynie z przyjacielem; sam, nie: wówczas bowiem wyobraźnię moją zaprzęta co innego i nie znajduję w jedzeniu żadnej przyjemności. O ile moja wrząca krew domaga się kobiet, o tyle tkliwe serce jeszcze silniej domaga się miłości. Kobiety nabyte za pieniądze straciłyby dla mnie cały urok; wątpię nawet, czy przemógłbym na sobie to aby z nich korzystać. Tak samo z każdą przyjemnością: jeżeli związana jest z zapłatą, wydaje mi się bez smaku. Lubię tylko te słodyczne, które nie należą do nikogo, a raczej do pierwszego z brzegu umiającego je smakować.

Nigdy pieniądz nie wydawał mi się rzeczą tak cenną za jaką go uważają. Co więcej, nigdy nie wydał mi się przedmiotem zbyt poręcznym; nie służy do niczego sam przez się, trzeba go dopiero zmienić na coś, aby się nim cieszyć; trzeba kupować, targować się, często być oszukanym, dobrze płacić za lichą usługę. Pragnę, aby każda rzecz była w dobrym gatunku: za pieniądze mogę być pewny, że dostanę lichą. Płacę drogo za świeże jajko, okazuje się zleżale; za piękny owoc, jest zielony; za dziewczynę, jest зараżona. Lubię dobre wino, ale gdzie go szukać? U handlarza? cobądźbym czynił, zawsze mnie struje. Pragnę, za wszelką cenę, być dobrze obsłużony; co tu trudności, kłopotów! starać się o przyjaciół, se-

kretarzy, dawać zlecenia, pisać, chodzić, jeździć, czekać — i często wkońcu być oszukany. Co tu utrapień za własne pieniądze! Lękam się ich jeszcze więcej niż lubię dobre wino.

Tysiąc razy, za czasu terminatorstwa i później, zdarzyło mi się wyjść z domu w zamiarze kupienia łakoci. Zbliżam się do cukierni, spostrzegam jakieś kobiety przy ladzie; już widzę jak się śmieją i żartują z małego łakotnisia. Przechodzę koło owocarki, zerkam na piękne gruszki, nęci mnie ich zapach; ale sterczy w pobliżu paru młodych ludzi i patrzą; ktoś kto mnie zna stoi przed sklepem! widzę zdaleka nadchodzącą dziewczynę; czy to nie służąca z sąsiedztwa? Krótki wzrok nastrocza mi mnóstwo sposobności do złudzeń. Każdy przechodzień wydaje mi się znajomy; wszędzie mnie coś onieśmiela, wszędzie jakaś przeszkoda; rośnie wstyd wraz z pragnieniem i bierze nad niem górę; wreszcie, wracam do domu jak głupiec, trawiony pożądaniem, mając w kieszeni środki i nie śmiejąc sobie nic kupić.

Musiałbym wchodzić w najgłupsze szczegóły, gdybym chciał malować wstyd, odrazę, utrapienia, wszelakiego rodzaju ohydy, których zawsze doznawałem, gdy chodziło o wydanie własnych pieniędzy dla siebie czy dla drugih. W miarę, jak, zapuszczając się ze mną w moje życie, czytelnik zapozna się z moim charakterem, odczuje sam wszystko, bez potrzeby rozwodzenia się nad tem z mej strony.

To pojawiwszy, każdy będzie mógł pojąć bez trudu jedną z mych rzekomych sprzeczności: połączenie brudnego niemal skąpstwa z największą pogardą pieniędzy. Jest to rzecz dla mnie tak nieporęczna, że nawet mi się nie śni pożądać pieniędzy których nie mam; a kiedy je mam, długo je przechowuję bez użytku, w niemożności zużycia ich wedle ochoty. Ale niech tylko się nadarzy przyjemna sposobność, korzystam z niej tak sumiennie, że sakiewka opróżnia się w mgnieniu oka. Nie szukajcie też we mnie zwykłego narowu skąpców, to znaczy wydatków dla popisu; wręcz przeciwnie, wydaję potajemnie i dla przyjemności. Daleki od szukania w wydat-

kach chluby, kryję się z niemi. Czuję tak dobrze, że pieniądz jest nie dla mnie, że niemal wstyd mi jest go posiadać a bardziej jeszcze zeń korzystać. Gdybym kiedy posiadał dochód wystarczający aby żyć dostatnio, nie miałbym żadnej skłonności do skąpstwa, tego jestem pewny; wydawałbym moje dochody nie starając się ich mnożyć. Ale moje położenie, trudne i niepewne, trzyma mnie w nieustannej obawie. Ubóstwiam swobodę; mam wstręt do skrzępowania, do trudu, niewoli. Póki trwają pieniądze w sakiewce, póty trwa i niezależność: uwalniają mnie od gonienia za zarobkiem, co zawsze wstręt budziło we mnie. Lękając się tedy iż niebawem się wyczerpią, duszę je. Pieniądz, który człowiek posiada, to swoboda; ten, za którym goni — to niewola. Oto czemu, kiedy je mam, duszę je, nie pragnąc niczego.

Moja bezinteresowność jest więc tylko lenistwem; przyjemność posiadania nie jest warta zabiegów. I rozrzutność moja płynie z lenistwa; kiedy nadarzy się sposobność przyjemnego strwonienia, korzystam z niej co żywo! Mniej kuszą mnie pieniądze niż same przedmioty, między pieniądzem bowiem a posiadaniem jest zawsze coś pośredniego; między samą rzeczą a jej użyciem, nie. Gdy widzę *przedmiot*, kusi mnie on; co insze, gdy widzę jedynie środek do nabycia go. Byłem tedy łasownikiem i teraz jeszcze zdarza mi się przywłaszczyć sobie jakiś drobiazg który mnie nęci i który łatwiej mi wziąć, niż o niego prosić: ale, w dzieciństwie czy później, nie przypominam sobie, abym sobie przywłaszczył bodaj grosz cudzy, poza jednym jedynym razem, niespełna przed piętnastu laty, kiedy zdarzyło mi się ukraść siedem funtów i dziesięć su. Przypoda warta jest aby ją opowiedzieć, mieści bowiem tak nieocenione połączenie bezczelności i głupoty, że trudnoby mi samemu w nią uwierzyć, gdyby dotyczyła kogo innego, nie mnie.

Było to w Paryżu. Przechadzałem się, około piątej, z panem de Francueil w *Palais-Royal*. Pan de Francueil wyjmuje zegarek, spogląda i powiada: „Chodźmy do Opery“. Nie mam nic przeciw

temu, idziemy. Bierze dwa bilety do amfiteatru, wręcza mi jeden i wchodzi pierwszy; ja za nim. Rozdziela nas tłok u wejścia. Patrzę i widzę że wszyscy stoją; przychodzi mi na myśl, że łatwo mógłbym stracić się w ciżbie, lub bodaj pozwolić panu de Francueil przypuszczać że się straciłem. Wychodzę, odbieram kontr-markę, potem pieniądze, i wymykam się, nie myśląc, iż, ledwie przeszedłem próg, wszyscy siedli i wówczas pan de Francueil musiał spostrzec moją nieobecność.

Ponieważ trudno o coś bardziej sprzecznego z mem usposobieniem niż ten rys, notuję go, aby ukazać, że bywają chwile jakiegoś pół-obłędu, w których nie trzeba sądzić ludzi z uczynków. W tym wypadku, nie była to właściwie kradzież pieniędzy, raczej kradzież ich przeznaczenia; ale, im mniej była kradzieżą, tem bardziej była paskustwem.

Nie wybrnąłbym z tych szczegółów, gdybym chciał notować wszystkie etapy, przez które, w czasie mego terminu, zeszedłem z wyżyn bohatera do nikczemności lajdaka. Ale nasiąkając przyzwyczajeniami stanu, nie umiałem nabrać wszystkich jego upodobań. Nudziły mnie zabawy towarzyszy; a kiedy wskutek zbytnej niewoli obmierzła mi i praca, nudziło mnie wszystko. To wróciło mi zamiłowanie do książek, oddawna zaniedbanych. Czytanie, dla którego chwile odkradałem pracy, stało się nową zbrodnią, którą opłacałem nowymi karami. Zamiłowanie to, drażnione przeszkodami, stało się namiętnością, wkrótce szaleem. La Tribu, sławna właścicielka czytelnicy dostarczała mi książek wszelkiego rodzaju. Dobrze, złe, wszystko mi było jedno; nie wybierałem; czytałem wszystko jednako chciwie.

Czytałem w warsztacie, czytałem chodząc z posyłkami, czytałem w wychodku, zapamiętując się poprostu całe godziny; w głowie mi się kręciło, nie nie robiłem poza czytaniem. Majster szpiegował mnie, łapał, bił, zabierał mi książki. Ile tomów podartych, spalonych, wyrzuconych oknem! Ile dzieł zbrakowanych w czytelnicy

starej la Tribu! Kiedy nie miałem czem płacić, oddawałem koszule, krawatki, lachy; trzy su niedzielnej pensji przechodziły regularnie do jej kasy.

Otóż i chwila, powie ktoś, w której pieniądze były mi potrzebne. Prawda; ale chwila ta przyszła wówczas, kiedy czytanie odjęło mi wszelką przedsiębiorczość. Pochłonięty nową pasją, nie widziałem poza książką; przestałem kraść. To także jedna ze znamiennych właściwości. W pełni danego sposobu życia, drobnostka jakaś odrywa mnie, zmienia, pociąga, wreszcie pochłania; i oto świat cały ginie, myślę jedynie o mej nowej pasji. Serce biło mi z niecierpliwości, aby się dobrać czempredzej do nowej książki jaką miałem w kieszeni; dobywałem jej natychmiast, skoro tylko zostałem sam, i ani mi już w głowie nie powstało plondrować warsztat pryncypała. Chwila obecna jest mi wszystkim; nie umiem sobie zadawać jakiegokolwiek trudu dla przyszłości. La Tribu udzieliła mi kredytu; zawsze wisiałem u niej z małą sumką; a kiedy miałem książkę w kieszeni, nie myślałem już o niczem. Pieniądze, które posiadałem, przechodziły do rąk tej kobiety, a kiedy stawiała się natarczywa, najprostszym odruchem było oddać jej własne rupiecie. Kraść zawczasu było dla mnie aktem zbyt przewidującym, a kraść dla spłaty długów nie przedstawiało nawet pokusy.

Pod wpływem tych wymysłów, kijów, czytania ukradkiem i bez wyboru, usposobienie moje stało się dzikie, milczące; głowa poczęta mi się bakierować, żyłem jak odludek. O ile wszakże pewien wrodzony smak uchronił mnie od książek płaskich i głupich, o tyle moje szczęście uchroniło mnie od bezecnych i wyuzdanych. Nie iżby la Tribu, kobieta pod wszystkimi względami uczynna, miała się skrupulizować z ich pożyczaniem; ale, aby podnieść ich wartość, szeptała ich tytuły z tajemniczą miną, która właśnie kazała mi odmawiać, tak ze wstydu jak z odrazy. Przypadek tak dobrze przyszedł w pomoc mej wrodzonej wstydlivosti, że miałem przeszło trzydzieści lat, nim pierwszy raz rzuciłem okiem na jedno z owych niebezpiecznych wydawnictw, które pewna światowa dama

określiła jako bardzo niewygodne, ponieważ przy czytaniu można je trzymać tylko w jednej ręce.

W niespełna rok wyczerpałem kramik jejmości La Tribu, wówczas stałem się pastwą okrutnej beczynności. Z narowów dziecka i urwisa wyleczył mnie nałóg czytania; a nawet lektury moje, jakkolwiek bez wyboru i często nie najlepsze, wszczepiły we mnie uczucia ponad mój stan.

Zmierżony tem co mi było dostępne a czując zbytnią odległość od tego coby mnie kusilo, nie widziałem nic, coby mogło pociągnąć me serce. Zmysły, oddawna zbudzone, domagały się rozkoszy, której przedmiotu nie umiałem sobie nawet wyobrazić. Pojęcia o ich naturalnem wyładowaniu były myślom moim tak odległe, jakgdybym nie posiadał płci. Wyrosły z dziecięctwa i zdolny do wzruszeń, wracałem niekiedy myślą do dawnego szaleństwa, ale nie widziałem nic poza tem. W tem szczególnem położeniu, niespokojna wyobraźnia obrała sposób, który ocalił mnie od samego siebie i uśmierzył rodzącą się zmysłowość. Zacząłem karmić się sytuacjami, które zainteresowały mnie w książkach, odmieniać je, kombinować, stosować do siebie, wzywając się w osobę jednego z bohaterów, z działających osób, oglądając się w najbardziej mi ponętnych rolach, słowem, żyjąc życiem urojonem, w które wkońcu zupełnie wrastałem i które wyzwalalo mnie z oplakanej rzeczywistości. To zamiłowanie do życia wyobraźnią i łatwość wcielania się w jej przedmioty, obrzydziły mi do reszty wszystko co mnie otaczało, utrwalając upodobanie w samotności, które mi odtąd pozostało na zawsze. Nie jeden raz jeszcze będzie można stwierdzić dziwaczne następstwa tego usposobienia ponurego i napozór zabarwionego mizantropją, ale które w istocie wypływa ze zbyt zapalnego, kochającego, zbyt czulego serca. Nie mogąc znaleźć w rzeczywistym życiu istot, któreby mu były pokrewne, serce to musi karmić się fikcjami. Na teraz, poprzestane na zaznaczeniu źródła i pierwotnych przyczyn owego wypaczenia, które przeobraziło wszystkie moje namiętności, i które, przez osobliwą sprzeczność, czyniło

mnie zawsze leniwym w działaniu, a to przez zbytnią żarliwość w pragnieniu.

Doszedłem w ten sposób szesnastego roku, niespokojny, nierad ze wszystkich i z siebie samego, bez zamiłowania do rzemiosła, bez uciech mego wieku, pożerany żądzami, których nie znałem przedmiot. Często, bez powodu, zalewałem się łzami, wdychałem nie wiedząc czemu; słowem, pieściłem swoje chimery, nie widząc dokoła nic realnego, co by je mogło zastąpić. W niedzielę, koledzy wstępowali po mnie po kazaniu, aby wspólnie zbijać baki. Byłbym im się chętnie wymknął gdybym mógł, ale, gdy raz wciągnąłem się w zabawę, żaden z nich nie dorównał mi w zapalczywości; niesposób mnie było opanować i zatrzymać. Taka już była moja natura. Na wycieczkach za miasto, szedłem zawsze naprzód, nie myśląc o powrocie, o ile inni nie pomyśleli o tem za mnie. Dwa razy przypłaciłem to dotkliwie: zamknięto bramy, zanim zdążyłem wrócić. Co się działo w domu nazajutrz, można sobie wyobrazić; za drugim razem obiecano mi takie przyjęcie na trzeci, że postanowiłem się na to nie narażać. Mimo to, ten trzeci raz, tak brzemienny grozą, nadszedł. Czujność moją udaremnił pewien przeklęty kapitan, nazwiskiem Minutoli, który zawsze zamykał bramę powierzoną jego straży pół godziny przed innymi. Wracalem z dwoma kolegami. Na pół mili od miasta słyszę że trąbią pobudkę, podwajam kroku; słyszę capstryk, biegnę co sił; dobiegam zdyszany, zlany potem; serce mi bije, widzę zdaleka sztyldwachów; przebiegam, krzyczę zduszonym głosem. Zapóźno! Na dwadzieścia kroków przede mną, podnosi się pierwszy most. Zadrżałem, widząc w powietrzu jego straszliwe rogi, złowrogą i nieszczęsną wróżbę losu, który otwierał się dla mnie w tej chwili.

W uniesieniu rozpaczy rzuciłem się na szaniec i zacząłem gryźć ziemię. Koledzy, śmiejąc się ze swego nieszczęścia, pogodzili się z niem rychło. I ja pogodziłem się również; ale w odmienny sposób. Przysiągłem w tejże chwili nie wrócić nigdy do pryncypała; kiedy nazajutrz, skoro otwarto bramy, koledzy wesoło podążyli do

miasta, pożegnałem się z nimi na zawsze, prosząc jedynie, aby uwia-
domili w sekrecie krewniaka mego Bernarda o mem postanowieniu
i aby mu wskazali miejsce, gdzieby się mógł zobaczyć ze mną raz
ostatni.

Od mego wstąpienia do terminu, straciliśmy się z oczu z krew-
niakiem. Przez jakiś czas, spotykaliśmy się w niedzielę; ale stopnio-
wo czuliśmy, jak wkrada się między nas pewna obcość, spotkania
nasze stały się coraz rzadsze. Jestem przekonany, iż matka jego
wiele przyczyniła się do tej zmiany. On pozostał chłopcem z wyż-
szej sfery, ja, mizerny terminator, należałem już do plebsu. Mimo
równości urodzenia, nie byliśmy już równi stanem; przestawać ze
mną, znaczyło zniżać się. Bądź co bądź, stosunki nie przerwały się
zupełnie; a że to był chłopiec z natury dobry, szedł niekiedy, mi-
mo wskazówek matki, za popędem serca. Powiadomiony o mym
zamiarze, przybiegł, nie aby mnie od niego odwodzić albo też go
podzielić, ale aby, zapomocą drobnych podarków, osłodzić nieco
mą ucieczkę: własne zasoby nie mogły mnie zawieźć zbyt daleko!
Dał mi, między innemi, szpadkę, którą byłem bardzo zachwycony;
nosiłem ją aż do Turynu, gdzie, z konieczności, musiałem się jej po-
zbyć. Im bardziej zastanawiałem się później nad sposobem w jaki
Bernard postąpił sobie ze mną w owym krytycznym momencie, tem
bardziej jestem przekonany, iż poczynił sobie wedle wskazówek
matki, może i ojca; nie jest możebne, aby sam z siebie nie próbo-
wał w jakiś sposób mnie zatrzymać, lub nie objawił chęci towarzy-
szenia mi; tymczasem nie! Owszem, raczej umacniał mnie w zamia-
rze, niż odwodził od niego; a gdy wreszcie widział że jestem zupeł-
nie zdecydowany, pożegnał się bez zbytniego wzruszenia. Nigdyśmy,
od tego czasu, nie pisali do siebie, ani się nie widzieli. Szkoda, była
to natura nawskroś dobra; byliśmy stworzeni aby się kochać wza-
jemnie.

Zanim się oddam na łup fatalności swego losu, niech mi bę-
dzie wolno obrócić jeszcze oczy na dołą, której mogłem się spodzie-
wać, gdybym się dostał w ręce lepszego zwierzchnika. Nie było nic

zgodniejszego z mem usposobieniem ani sposobniejszego by mnie uczynić szczęśliwym, niż skromny i spokojny zawód rękodzielnika, w pewnem rzemiośle zwłaszcza, np. rytownika w Genewie. Ten zawód, dość zyskowny aby zapewnić dostatnie utrzymanie, a nie dość aby obudzić żądzę bogactwa, byłby na resztę życia zakreślił granice mej ambicji, byłby mnie zamknął w mojej sferze, nie dając żadnego sposobu wydobyć się poza nią. Posiadając wyobraźnię dość bogatą aby rojeniami jej ozdobić każde położenie; dość potężną, aby, z jej pomocą, przenosić się, że tak powiem, w dowolne horyzonty, niewiele byłbym dbał o istotne warunki życia. Między miejscem mego zamieszkania a najbliższym zamkiem na księżycu nie mogła istnieć taka odległość, abym z łatwością nie zdołał jej przebyć w każdej chwili. Z tego właśnie wynikło, iż zawód najprostszy, najmniej wymagający kłopotu i zabiegów, zostawiający myślom najwięcej swobody, byłby najzgodniejszy z mą naturą; a takim było właśnie rzemioło które miałem porzucić. Byłbym spędził na łonie mej religji, ojczyzny i przyjaciół życie spokojne i ciche, takie jakie odpowiadało memu charakterowi, wśród jednostajnej umiłowanej pracy, w małym dobranem kole. Byłbym dobrym chrześcijaninem, dobrym obywatelem, rzemieślnikiem, dobrym człowiekiem we wszystkim. Byłbym kochał swój zawód, może stałbym się jego ozdobą; i, przeżywszy lata cichego i prostego, ale równego i pogodnego życia, umarłbym spokojnie w otoczeniu bliskich. Wkrótce zapomnianoby o mnie, to pewna; bądź co bądź, żalowanoby mnie przynajmniej tak długo, jak długoby przetrwało bodaj nikle wspomnienie.

W miejsce tego... Jakież obraz przyjdzie mi nakreślić? Ach, nie uprzedzajmy nieszczęść mego życia; aż nadto trzeba mi będzie zaprzętać czytelników tym smutnym przedmiotem.